

● Otrzymujemy sporo listów, w których młodzi autorzy przysyłający swe prace piszą: „postanowiłem zaryzykować”, „spróbuję, a nuż się uda”, „może będę miał szczęście” — słowem traktują nas trochę jak grę w totolotka. Chcemy dziś przypomnieć, że KMA loterią nie jest i pisać do nas można wielokrotnie, liczyć zaś należy nie na szczęście, a skupić się raczej na doborze tematu, na trafności spostrzeżeń itp. Słowem — mniej „wróżenia”, a więcej wysiłku umysłowego w nadesłanym utworze poplaca.

● Przypominamy, że pisać do KMA należy koniecznie podać swoje imię i nazwisko, dokładny adres, wiek, szkołę. Na kopercie prosimy zaznaczać — KMA. Rekopisów nie zwracamy. (1)

Podniebny balet

Rzucona książka rozłożyła kartki, jak ogon pawia, zamigotała na przemian to jasnymi stronami druku, to ciemnymi plamami fotografii, zafurgotała szeleszczącymi kartkami, wyładowała ze stukiem w okolicy zlewu i zastygła wreszcie rozłożona, pokazując czerwone okładki, a na nich napis: „PODNEBNY BALET”.

Leżą przez chwilę, patrząc bezmyślnie na róg książki wystającej z zlewu. Kawalek czerwieni tkwił zamglony, pozbawiony ostrości w jego oczach, bo nie myślał o nim wcale. całą swą bezwiednością pragnął odwrócić odeń wzrok. Nie potrafił jednak. Aż wreszcie zmusił się do przymknięcia powiek i wtedy w samych kąciakach oczu nabrzmiały i zsuwać się począły duże łzy. Obtarł je natychmiast, jakby wstydzając się ich, choć nikogo w pokoju nie było.

Ale nie tylko w pokoju. W całym jego krótkim życiu nie było nikogo, komu mógłby wyjawiać ten cały dramat, pozostawił go więc sobie, myśląc, że kiedyś przetrawi go czas. Jednak nie stało się to jeszcze, wszak tylko dwa lata minęły od tego...

Przed dwoma laty był na badaniach lotniczo-lekarskich we Wrocławiu. Sam nie wierzył w to, że uda mu się przez nie przejść. Natura nie poskapła mu bowiem chuderławości, wątpliści. Tliła się jednak w jego małym, i dużym jednocześnie sercu marzyciela nadzieja: — A może jednak?

Nie przeszliżnął się, oczywiście. Cóż z tego, że badania psychologiczne... To była przyszłowiowa „pestka”. Ostatecznie nadzieję rozwiął chirurg. Drobną była ta wada w budowie kręgosłupa, wystarczała jednak do „obłania”. Nietety, nie można jej było usunąć jak, np. ropy z zatoki. Zamknięte przed nim zostały podniebne przestworza. Wprost uwierzyć nie mógł, że nie będzie, podobnie jak Zwirko, Wigura, jak tyłu rówieśników — latać...

Nie, nie mógł dłużej rozgoryczać siebie. Postanowił zapomnieć. Ba! Żeby to było łatwe! Już miał podzielić się zmartwieniem (gdybyż to było „zmartwienie”) z kimś wyrozumiałym, aby przerzucić nań choć połowę goryczy, gdy zaskoczyła go refleksja, że ktoś przede wszystkim zabierze się do pocieszania, powie, że do lotnictwa są inne drogi... Nie! Tego nie pragnął.

Dwa tygodnie temu poszedł na film ALPHA-WILLE. Lubili „science-fiction”, sam nie wiedział, dlaczego. Może dzięki tajemniczości, która go zawsze pociągała? Wrócił z filmu z rozjątrzoną raną, która jako tako, po dwu latach zgoliła się. Nie film był tego przyczyną. Rozdrapał mu ową ranę, wy dobył jej dramat na światło dzienne dodatek o niepozornym tytule: „CHMURY”.

Zielone lasy, brunatne pola, błękitne rzeki, jeziora, białe prostokąty dachów, a to wszystko skąpane w promieniach słońca... Ach, bując, jak ptak w błękitnych przestworzach, wpadać w młeczne grzywacze chmur, potem wynurzać się i spoglądać na ich fantastyczne kształty z góry... Nie! Nie wolno mi myśleć o tym — walczył przez chwilę z myślami, jak Ursus z bykiem, lecz przegrał. Marzenie było silniejsze. Właściwie to mógł się w nie wtopić i o bożym świecie nie wiedząc, unosić się w obłokach, poruszać sterami szybowca, który czuły na każde ich drgnienie wykonywał dziwne harce. To stanowiło przyjemność, rozkosz niemal. Lecz wnet otwierały się oczy, ukazując całkiem nieatrakcyjną prawdę. Wtedy pojawiała się to najgorsze — myśl, że to fantazja, czysta fantazja, której zrealizować niepodobna. Tego nie mógł znieść.

Wielu jego rówieśników, dla których Natura była bardziej przychylna, usiadło za sterami szybowców, ubrało stroje spadochroniarzy.

Nie pocieszał się, nie dodawał sobie otuchy, wiedział, że oszukanie uświadomionej świadomości jest niemożliwością. Ufff! Te marzenia!

Otworzył zacerwienione nieco oczy. Wstał, podszedł do zlewu, podniósł książkę w czerwonych okładkach, wyprostował pomłete kartki.

SATURN APOLLO
223 członek KMA

„Pieczara słońca”

Przed świętami jeszcze, podczas robienia porządków wpadł mi w ręce ten zeszyt. Tytuł duży, widoczny: OPOWIADANIA. Autorka: Zofia Badura — kl. VI-a.

Dwa lata temu... Niecierpliwie przeczulałam kartki. Trzy zapisane starannie stronice. Jedynka rzymska — „Pieczara Słońca”. Powoli przypominałam sobie, kiedy to pisałam...

Z okna naszej kuchni, gdzie chcąc nie chcąc tkwiłam po obiedzie zmywając naczyń, można było codziennie podziwiać wspaniałe zachody słońca. Raz zauważyłam, że krwawie obłoków prześwietlone promieniami słońca obejmują się, tworząc jakby wejście do groty pełnej ziołisto-żółtego światła...

— Pieczara Słońca!

Zaczełam czytać, i z każdą chwilą czułam się coraz bardziej niewyraźnie. Nalwne przenośnie, wierzolne frazesy... Gdyby ktoś czytał to na tam w większym gronie, roześmiałabym się, ale tu, w pustym pokoju, to wcale nie było śmieszne.

Jak mogłam pisać podobne bzdury? I nagle uświadomiłam sobie, że pisać to opowiadanie wierzolne we wszystkie, co piszę... Wierzyłam, że tam za chmurami jest pieczara, której nikt nie zna... Zee... ja tam kiedyś trafię...

Wtedy moje opowiadanie uważałam za arcydzieło, a teraz... Nędzna, błada szmira!

Palce bezwiednie wyszarpały trzy zapisane stronice...

Przebież ja To widziałam, widziałam naprawde, i tylko... zabrakło mi słów...

ZOFIA BADURA

Zimowa opowieść

Chodziliśmy razem na długie spacery. Było ich wiele, tak wiele, że nie pamiętam wszystkich. Ale ten jeden...

Zimowa droga, drzewa sine od szronu. Mój czerwony nos — i jego kasztanowy, ciepły wzrok. Idzie kułacie się z chłodu.

— Zimno, co? — mówię.

— Uhm — odmrunkną i zapatrzył się gdzieś przed siebie. Wiatr przyniósł szczełkanie psa. Obeszła się.

— Szczeka.

— Wiem!

— Tak, ale to ten stary kundel Bars.

— I co z tego?

— Nie rozumie, dlaczego go tak lubisz. Co ty w nim widzisz?

— Nie wiem. Może tylko mu współczuję? Całymi dniami i nocami pilnuje tych magazynów. Nikt mu dobrego słowa nie powie...

— Phil Wielka mi rzec pilnowanie! — wzruszył lopatkami.

— Oho! Co się tak mądrzysz. Polaziłbyś całą noc na mrozie, to byś zobaczył!

— Eee tam! — ale zaczął przytupywać, bo zimno dobierało mu się do skóry. Pobiegł naprzód, ale nie goniliam go. Byłam porządnie zmęczona.

W lesie, na ścieżce, dopatrywał się tropów saren.

— Śliczne są sarny, prawda? — spytałam. Zerknął z ukosa: — Nigdy nie jadłem sarniny. Parsknął śmiechem.

Włóczyliśmy się jeszcze długo na mrozie. Lód dzwonił na gałązkach drzew. Sosny ubrane były w uspokajającą, cichą zielen. I nie wiedziałam, że jest to ostatnia nasza wędrowka. Ze po raz ostatni biegnie przede mną Miki — mały, płowy piesek. Zginął 19 grudnia 67 roku... Ciepły brąz kasztanowych oczu zaginał w ostrej biel; nierówny rozplynęła się drobna, lisa sylwetka na tle zielonych świerków. Wiatr zabrał na zawsze stukot pazurków, śnieg zasypał ślady małych łapek. I jest mi tak, jak w dawno ułożonych li-nijkach wiersza:

„Drżący ruch psiego noska
kolysze wciąż w progu domu oskarżającym
skomleniem...”

ANNA KAWECKA
23 członek KMA

